

Mazuchowska Otylia

Jedlicze k.Krośna

ARCHIWUM

Moja tułaczka wojenna

1/798

Cdy wybuchła wojna miałam ukończone 18 lat,mieszkałam z rodzicami, dwoma braćmi i dwiema siostrami na Polesiu,a dokładnie na kolonii Omelno-Kolońsk gmina Święta Wola pow.Kosów Poleski.

Tam spędziłam dzieciństwo,rodzice byli osadnikami z centralnej Polski.

Pamiętam bardzo dokładnie jak wybuchła ta okropna wojna,to były ciężkie czasy,mobilizacja,wyjazd kolegów,płacz,pożegnania.I nie długo trwała ta wojna,bo po dwu tygodniach zaczęli chłopcy niektórzy wracać,a wielu poszło dalej w świat szukać wojaczki i wolności, ale może i lepiej zrobili bo uniknęli przynajmniej"zsyłki",bo 17 września Armia Czerwona zajęła nasze terytorium,a nasze osady były pomiędzy wioskami białoruskimi i po zajęciu tych terenów przez Wojska Radzieckie Polacy czuli się bardzo zagrożeni,w niektórych rejonach dochodziło do krwawych porachunków pomiędzy osadnikami a Białorusinami,więc Polacy siedzieli bardzo cicho i myśleli że jakoś przetrwają to najgorsze,a wojna przecież trwać wiecznie nie będzie to jakoś szkoda zostawiać swojego dorobku i dachu nad głową i uciekać w nieznane,a właściwie nie było gdzie,bo z jednej strony strach Bolszewików,a z drugiej jeszcze gorszy strach Hitle- rowców.I tak pozostaliśmy na miejscu i czekaliśmy co będzie dalej. We wsi Białoruskiej osiadł dostojny "Komisar" no i zaczęły się nakazy-prykazy ale jakoś się żyło.Polacy liczyli że są na swoim to jakoś to przeżyją,okazało się jednak inaczej i nikt nie wiedział ani nie słyszał taka to była tajemnica gdy 10 lutego 1940 roku o godz.6-tej rano załomotano do drzwi kolbą karabinu.To było straszne,młodsze rodzeństwo jeszcze spało.Mama była chora też spała, ja już paliłam ogień pod kuchnią i ojciec wstawał-otworzył drzwi-wpadło 5-ciu ludzi z karabinami,z krzykiem,ojca pod ścianę i brata: a"różio imiejesz" krzyczą.My chociaż białoruski język rozumieliśmy, bo na co dzień się go słyszało,ale o co chodzi nikt nie wiedział. Zaczęli szukać po mieszkaniu no i "wintowka jest?" Więc ojciec mówi: nie ma żadnej broni.Poplondrowali po domu nic nie znaleźli i:"sobirajties w poł czaśa".To była tragedia,7-mio sobowa rodzina, chora matka zemdląła,ojciec nie mógł wydobyć głosu z siebie,ja z bra- tem jakoś sama nie wiem czy ze strachu, czy z czego ~~zaczęłam~~ zaczęłam ratować mamę a potem ubierać siostry,zbierać pościel i odzież,a oni krzyczą:"bystriej,bystriej" i " bolsze nie nada".I nie wolno było

nawet wyjść za drzwi żeby coś wziąć ze spiżarni. To szczęście że był chleb upieczony poprzedniego dnia i to zabraliśmy, a przecież to było siedmioro ludzi i to młodych dzieci, którzy potrzebowali jeść żeby żyć i nikt się o to nie troszczył; wyrwali ze snu jak przestępców, wypędzili pod karabinami za drzwi ciepłego domu na śnieg i mróz i jazdą. Przed domem stało dwoje sani i jeszcze dwu zbirów i rozkaz: "sadis" i jazda w nieznaną.

To było straszne, tego nie da się opisać, to trzeba przeżyć-i znów krzyk matki i znów omdlenie, a tu mróz i śnieg że trudno jechać, bo zima wtedy była śnieżna i mroźna. Ale jakoś dowieźli nas do szkoły, a tam Boże jedyny-pełno ludzi, krzyk, płacz dzieci, każda rodzina z tobołkami w jakimś kątku. To szczęście jak kto miał jakiś kawałek chleba, bo przecież trzymali nas tam dwie doby i nikt się nie zapytał czy wam się jeść czy pić nie chce?. W drzwiach stoi warta z bronią, wyjść nigdzie nie wolno tylko czekać i cicho siedzieć.

Aż wreszcie podepchnięto takie platformy na kolei / bo zaraz obok szkoły przechodziła wąskotorówka / Iwacewicz do Janowa Podlaskiego / i tam żeśmy się załadowali. Mróz, zawieja, pałowóz gwizdał, psy wyły, ludzie płakali, to było straszne....

Tak dojechaliśmy do tych Iwacewicz, tam był już przygotowany transport wagonów towarowych z pokratowanymi oknami, z podwójnymi narzami, żelazny piecyk pośrodku i dziura w podłodze na ubikację-no i załadunek. Wszędzie żołnierze z bronią popędzają: "bystrzej, bystrzej".. krzyki, płacze, lamenty-okropne rzeczy.

No ale jakoś to wszystko załadowali. A tam była masa narodu od Iwacewicz, Kosowa, Świętej Woli, Teledzan. To byli osadnicy, leśnicy, gajowi, inteligencja i wogóle kto się im nie podobał wszystkich wywieziono. To był nasz pierwszy transport, potem prawdopodobnie były jeszcze wywózki w maju i później, ale nam dostało się chyba najgorzej bo była ostra zima i nikt nie wiedział gdzie nas wiozą, dopiero po przekroczeniu granicy w Stołpcach zorientowaliśmy się że jedziemy na Archangielsk.

I jechaliśmy, jechali-wagony zaplombowane, pod strażą uzbrojoną jak przestępcy. Czasem ten eszalon się zatrzymywał-brano wówczas dwu mężczyzn z wiadrami po zupę i jednego po chleb, i jak nas było 48 osób w wagonie to dostał każdy chochlę jakiejś tam zupy i kawałek chleba i to było nie każdy dzień, może dwa razy w tygodniu, a jechaliśmy przeszło miesiąc, bo dopiero pod koniec marca dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia.

Czasem stanął pociąg w pustym polu i wypuszczano nas po jednym wagonie żeby nabrać sobie śniegu na wodę i trochę rozprostować

kości. To było okropne jechać tak w nieznane.

wreszcie dojechaliśmy do Archangielska no i odstawili nas na boczny tor i tak staliśmy około doby aż zaczynają podjeżdżać podwozy zaprzężone w takie małe, kudłate koniki-ludzie też ubrani w skóry reniferów; były też i sanie zaprzężone w renifery. Mowę tych ludzi trudno było zrozumieć. I zaczęli po kolei rozładowywać wagony i rozwozić po posiadkach. To były dalekie odległości.

Naszą rodzinę z kilku innymi zawieziono do Uspiengi. To była miejscowość gdzie rzeka Piniga wpadała do Dwiny. Tam rozmieszczono nas po barakach drewnianych, pełno było pluskiew. W życiu nie widziałam tyle pluskiew i wszy co właśnie tam za te sześć lat wygnania.

Więc myślimy-jesteśmy już na miejscu. Ale gdzie tam! Przychodzi jakiś "starszyna", spisuje, sortuje, jednych zostawiają na miejscu do spławu drewna, innych wysyłają do Kamieniołomów i kto chciał żyć to musiał iść i robić czy umiał czy nie umiał, czy miał w czym, czy nie-nikt go nie pytał - chciał jeść-musiał robić, bo inaczej toby po miesiącu skończył, a tak to zawsze chociaż na tą jakąś zupę zarobił i na kawałek chleba i jakoś żył i czekał z dnia na dzień.

Myśmy nie mieli ani odpowiedniej odzieży, ani rękawic i chociaż był koniec marca to tam były ogromne śniegi i mrozy a lody na Dwinie nie zawsze na 1-go maja ruszyły. Dano nam tylko kółofy, łomy i młoty, wózki i nakazano normę do wykonania / bo jak nie rabota-jesz to nie kuszajesz / i tak trzeba było robić ponad swoje siły i możliwości. Mama łatała każdy dzień rękawice a nas troje: ja, brat i ojciec pracowaliśmy w tych kamieniołomach.

Gdzieś po miesiącu pracy-widocznie małe efekty były-przewieziono nas znów dalej z biegiem Dwiny, do miejscowości Orlecy do olbrzymich składów drewna. Tam piły tarczowe były całymi dniami, tam przyjeżdżały transporty z tajgi z drzewem, tu były sortowane, skórowane, piłowane i w zależności od gatunku wysyłane barkami, spławem w świat Dwiną do miejsca przeznaczenia i nas znów kilkadziesiąt Polaków, przeważnie dziewcząt i młodocianych zatrudniono właśnie przy tym drzewie.

I tak robiliśmy gdzieś do połowy lipca i znów załadowano nas na taką kolejke powietrzną do przewozu kloców z tajgi i trzeba było się dobrze trzymać żeby nie spaść. Bo to była kolejka na słupach na jednej szynie w rodzaju wagi wiszącej i tym wehikułem przewieziono nas ze dwieście kilometrów w głąb tajgi, no i to było właśnie nasze przeznaczenie. W koło las, kawałek nieba nad głową i barak zapluskwiony i siekiera i piła i w las do pracy na wyręb.

Boże! Ile ja tam łez wylałam, jak ja nie umiałam tego robić. Ojca i brata wzięto do ładowania kłoców, mnie przeznaczono do brygady do wyrebu lasów. Jedyną łaską to była łaźnia tzw. "bania" z gorącą i zimną wodą w drewnianych beczkach, z rozpalonymi kamieniami, z których można było narobić pary, i te brzoźowe miotki i półki - to było zdrowie! Żeby człowiek nie wiem jak był zmęczony to jak na takiej półce w parze sobie poleżał, całe ciało wytrzaskał taką miotką brzoźową z majowymi liśćmi a potem opłukał zimną wodą to był zdrow jak ryba i to trzymało człowieka przy zdrowiu.

Ciężkie to było życie. Kawalek chleba, raz dziennie miska jakiejś zupy i praca ciężka w lesie ponad siły. Za trzy lata pobytu w tajdze to pozostało kilkadziesiąt mogił na wzgórku.

Nasz posiołek nazywał się "Najdmone". To były trzy długie baraki po kilkanaście rodzin, sklep - w którym oprócz chleba nie było nic, stołówka i właśnie ta bania. Były też takie szałaszy z drągów dla koni; to były drągi nakryte gałęziami i tak te konie stały kudłate, oszronione, zmarznięte. Konie służyły do ściągania kłoców z tajgi na plac załadunku. Woda tak do stołówki jak i do łaźni i wogóle do wszelkiego użytku czerpana była z takiego jezirka, w którym były żaby, ryby, kijanki i Bóg wie co. Innego źródła wody nie było, chyba że zimą ze śniegu. A zimy były tam ładne, śnieżne i mroźne i nie-miłosiernie długie. Za to lato było wspaniałe. Było tak dużo dnia, że przez dwa miesiące to prawie się nie ściemniało. W lasach było masę różnych jagód i grzybów i to ludzi też utrzymywało przy życiu, bo z braku witamin dużo ludzi dostawało szkorbut tzw. cynga, a te jagody czarne, czerwone, to nawet mroziło się na zimę i one trzymały ludzi przy życiu.

I tak żyliśmy w tej tajdze do 1943r do marca. Wtedy w marcu zaczęły się spisywania, przesłuchiwanie i można było wyjechać gdzieś na wschód na pustynię albo po okolicznych sowchozach i fermach hodowlanych. I znów nasza rodzina trafiła do takiej fermy hodowlanej koło Hołmogór. Teraz było trochę inaczej, przynajmniej nie las i kłocce, ale siano, bydło. Ale zaraz po osiedleniu się w naszym miejscu zabrali wszystkich mężczyzn do wojska. Bracia zabrali do wojska a ojca na okopy pod Stalingrad. To były ciężkie czasy. Głód, chłód i troska o najbliższych, i czekanie, czekanie, na coś nowego, na wolność, na jakiś koniec. No i wreszcie jest wiadomość - bracia są w Sielcach nad Oką, szkolą ich i ćwiczą. Jest tam masa Polaków, wszyscy chcą walczyć. Ale od ojca nie ma wieści i nne

wiemy gdzie jest. Okazało się potem że w trzech uciekli z okopów i przez trzy miesiące przedzierali się przez różne wertepy, aż dotarli do Sielc nad Oką do swoich, do Wojska Polskiego.

A my zostałyśmy same i czekałyśmy i pracowały, a głód kiszki skręcał, bo owszem roboczy człowiek dostawał 600 gram chleba, ale poza tym nic ani co kupić, ani co ukraść. Ten Głód i, zimno nas wykańczały i tylko nadzieja dodawała nam siłę, bo dzieś tam ktoś pisał, że wyjeździemy, że Berling, że Wanda Wasilewska starają się i Związek Patriotów Polskich - i wreszcie przyszedł ~~wykaz~~ przykaz: "Półaczki ujeżdżajut". I tak 5-go czerwca 1944 roku wyjeżdżamy z posesioków z sowchozów do najbliższych przystani na Dwinie i chociaż to był już piąty czerwiec to jeszcze saniami nas odwozili bo był jeszcze śnieg po polach i na drogach to były już roztopy wiosenne.

I pozbierał nas parostatek po wszystkich przystaniach i zawiózł do Archangielska no i znów przeładunki z prawego na lewy brzeg do jakiegoś gmachu, potem zaopatrzenie w suchy prowiant, trochę z UNRY, trochę miejscowy, no i po kilku dniach załatwiania formalności podstawiono wagony i chociaż towarowe, ale już nie okratowane. I tak 9 czerwca 1944r pożegnaliśmy Archangielsk i jechaliśmy w cieplejsze strony, bo tam był jeszcze śnieg po polach a my gdy po dwu tygodniach dojechaliśmy ~~na~~ na Ukrainę, to ~~był~~ ^{jest} dokładnie Achtyrka Sumskaja Oblast, to tak było pięknie, kwitły kartofle, pokoszone trawy pachniały pięknie jabłonie, to był inny świat.

I znów nas rozwożono po sowchozach, porozmieszczano po barakach, ale już głodni tam nie byliśmy bo chociaż chleba była ta sama porcja ale były ziemniaki, a jesienią to i owoce tak, że ten co chciał pracować to i głodny nie był, chociaż o miesie czy jakimkolwiek tłuszczu to za sześć lat tej wędrówki to nie było mowy, to się zapomniało wogóle jaki to smak miało, to już przed samym wyjazdem do Polski kupiliśmy z mamą na targu świńską głowę i nasmażyłyśmy z cebulą, to był rarytas pierwszy od sześciu lat, to było na drogę do chleba. Pracowaliśmy tam w polu przy burakach, przy młocce i zwózce, wogóle gdzie było potrzeba. Były prawie same kobiety i jakiś stary dziadek, a pracy było dużo. Pracowałyśmy i czekałyśmy końca wojny i końca naszej tułaczki. Aż przyszła ta ~~chwila~~ chwila. Pamiętam i do śmierci będę pamiętała ten dzień - 9-ty maja 1945 r. Jak raz wychodziłyśmy w pole do buraków a tu jedzie na koniu jeździec ze sztandarem i krzyczy: "wojna konczałaś, wojna konczałaś". To była cudowna wiadomość. Już do pracy nie poszliśmy tylko na plac. Tam było masa ludzi, wszyscy płakali, ściskali się

z radości i Polacy i Rosjanie to nie było wyjątku, wszyscy czekali końca wojny.

Wtedy ~~ka~~ już wiedzieliśmy że wrócimy do Kraju i chociaż to był maj to jeszcze pracowaliśmy całe lato, aż dopiero 8-go lutego 1946r po wielu załatwianiach żegnaliśmy Czupachowkę i Achtywkę i załadowani w wagony jechaliśmy do Polski naszej już wolnej, wytesknionej Ojczyzny.

I tak po sześciu latach tułaczki, głodu i chłodu stanęliśmy na Polskiej ziemi w Chełmie. Pamietał że była to niedziela. Witano nas chlebem i solą i łzami, ale to były łzy radości, bo już była Polska i my między swoimi, chociaż potem różnie bywało, ale to już inny rozdział mojego życia.

I tak my wróciliśmy, ale starszy brat zginął pod Lenino to znaczy był ciężko ranny i umarł od ran. Młodszy natomiast przeszedł cały szlak bojowy aż do Berlina, został ranny, żyje do dziś, ale wszyscy jesteśmy rozproszeni po całym kraju, tak jak nas los gdzie rzucił, taki to jest los tułaczy.

2.07.1990

Z rękopisu przepisała
T. Bugajska-Komisja Historyczna
Związku Sybiraków O. Krosno

© ARCHIWUM WĘGIERSKIE